NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonparellowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

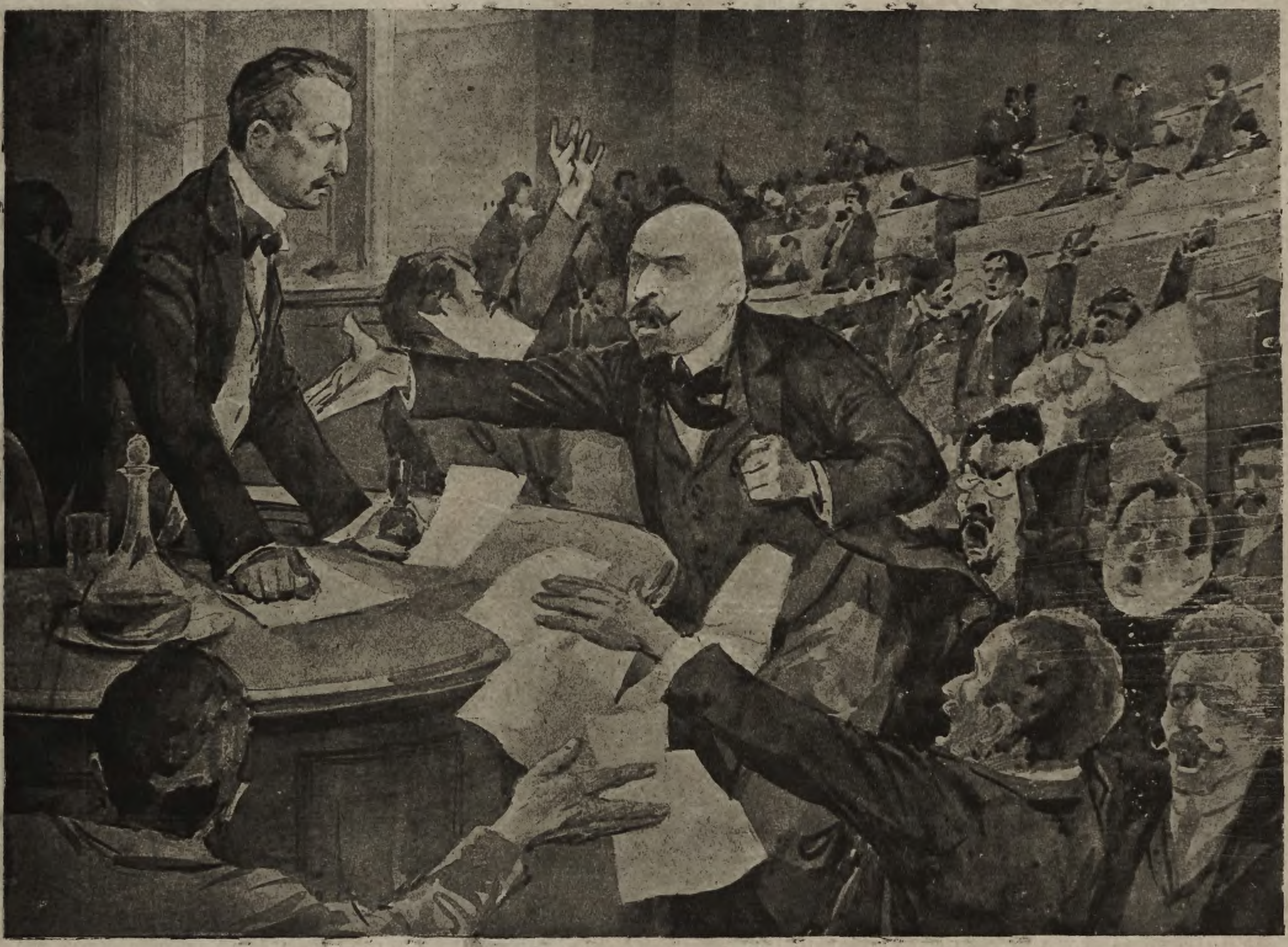
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 13. listopada 1920. Nr 46.

Burzliwa demonstracya lewicy sejmowej przeciw Senatowi



Wykluczeni za awanturnicze zachowanie się posłowie atakują marszałka Trąmpczyńskiego.

Ekspozytura Urzędu Propagandy Pożyczki Państwowej w Krakowie podaje do wiadomości, że Urząd Pożyczek Państwowych w Warszawie okólnikiem z dnia 4 listopada 1920 r. Nr. 12329

zarządził deponowanie książeczek rentowych

przyjętych na poczet długoterminowej pożyczki z r. 1920 w Oddziałach Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w Krakowie i we Lwowie.

Burzliwa demonstracya lewicy sejmowej przeciw Senatowi.

(Do illustracyi tytułowej).

Drugi rok obraduje już w Warszawie nasz Sejm ustawodawczy, którego zadaniem było w pierwszym rzędzie danie państwu konstytucyi. Minęło tymczasem dwadzieścia miesięcy z okładem, uchwalono całe mnóstwo najróżnorodniejszych ustaw, a sprawę konstytucyi spychano stale z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Pod koniec drugiego roku naszego samoistnego bytu mamy kraj bez granic na zewnątrz i bez właściwego rządu wewnątrz, ten bowiem, który rezyduje w Warszawie, jest tylko tymczasowy. Naszym posłom niezle się widocznie wiedzie w Warszawie, skoro tak trudno im załatwić się z tą najżywotniejszą sprawą państwową.

Ostatecznie doczekała się i sprawa konstytucyi wejścia na porządek dzienny plenum sejmowego, ale po to tylko, aby się stać powodem gorszących zaburzeń, przypominających byly parlament austryacki z najsmutniejszych jego czasów.

Sejm uchwala obecnie konstytucyę punkt po punkcie, a przy każdym z nich niemal, raz prawica, to znów lewica, stwarzają coraz to inne trudności, jak gdyby silily się, aby sprawę uchwalenia konstytucyi przeciągnąć *ad infinitum*.

Zaciekłą walkę wywołała kwestya, jaki ma być przyszły Sejm. Przeciw dwuizbowości wystąpiła z zapałem, godnym lepszej sprawy, lewica, a gdy pomimo jej zabiegów większość sejmowa oświadczyła się za senatem, zwalcza go z jeszcze większą niż dotąd zaciekłością, uważając Sejm jednoizbowy za jedynie możliwy w państwie o ustroju demokratycznym, choć najbardziej nawet demokratyczne, n. p. francuski, są właśnie dwuizbowe.

Na tle dwuizbowości Sejmu wybuchły w dniu 5 listopada w naszym parlamencie burzliwe demonstracye.

Szło o przeszkodzenie dalszemu głosowaniu nad artykułami konstytucyi. Marszałek zdołał dokonać głosowania li tylko nad art 37. i to w warunkach, które podają w wątpliwość legalność głosowania. Pierwszy punkt porządku obrad obejmował głosowanie nad projektem konstytucyi od art. 35—102.

Pos. Niedziałkowski zaproponował, ażeby wstrzymać się od głosowania aż do rozstrzygnięcia w komisyi sprawy Senatu.

Marszałek mimo to zarządził głosowanie. Wtedy na lewicy wybuchła burza. Rozległ się stuk pulpitów, tupanie nogami, przejmujące świstawki i zgiełkliwe okrzyki. Marszałek stanął w pozycyi obronnej. Przemawia karcąco i grozi ręką w stronę lewicy. Za każdym jego gestem wzmaga się hałas. Marszałek wzywa sekretarzy, posłów i urzędników biura sejmowego, ażeby skontrolowali, którzy z posłów hałasują. Zaraz po pierwszych raportach od sekretarza biura sejmowego p. Szebeki, marszałek dyktuje coś stenografom; są to wyroki dyscyplinarne, które skazują posłów na wykluczenie z 5 posiedzeń. Skazani zostali posłowie: Dr Lieberman, dr Perl, Pużak, Ozoń, Rudziński, Klemensiewicz, Grünbaum, Piotrowski i Szczarkowski. Wykluczanie odbywa się wśród zgiełku.

Podczas wręczania listów o wykluczeniu, gdy urzędnik biura Sejmu zbliżył się, chcąc listy doręczyć, p. Klemensiewicz wyrywa mu je z rąk i drze na strzępki i rzuca na podłogę. Orgia nabiera tem bardziej ponurego tonu, że skutkiem defektu w elektrowni światło elektryczne zgasło. Przy blasku świec i lamp naftowych, wśród tajemniczych cieniów, chwiejących się na ścianach sali, kotłuje się zgiełk piekielny. W pewnej chwili, jakby na dany znak zalega cisza — obstrukcya chce tchu zaczerpnąć.

Marszałek każe odczytać listę wykluczonych, co wywołuje nową burzę. Poseł Klemensiewicz rzuca się ku stopniom trybuny marszałkowskiej i krzyczy coś w pasyi. Do atakującego Klemensiewicza marszałek powiada, że właściwie nie powinien mu, jako wykluczonemu, odpowiadać, na co Klemensiewicz



Gdzie mógłby stanąć pomnik Kościuszki: Prof. Szyszko-Bohusz, kierownik odbudowy Wawelu.

woła: „Wyklucz pan moją babkę“. Poseł Klemensiewicz, który jako kwestor Sejmu, jest powołany do czuwania nad porządkiem, tłómaczył w kuluarach, że śledzenie posłów należało poruczyć kwestorom. Ku trybunie marszałka spieszą ze strony prawej i lewej grupy zacietrzewionych, obrzucając się wzajemnie wyzwiskami, wśród których „łobuz“ jest najdelikatniejsze. Wydaje się, że lada chwila przyjdzie do gremialnej bójki. Załuska i Tabaczyński, Klemensiewicz i Pużak wywijają ku sobie pięściami. Marszałek widząc, że się zanosi na poważne zajścia, przerywa posiedzenie. Mija godzina, zanim przychodzi znowu otwarcie posiedzenia. I tym razem marszałek zarządza wystawienie czarnej tablicy, na której wypisano wezwanie, aby głosować nad artykułem 37. Zarządzenie to, skutkiem podniesionej już temperatury, wywołuje niesłychane sceny. W głosowaniu imiennem odbierają kartki sekretarze sejmowi. Poseł Staliszkis, który z koszem dla odbioru kartek udaje się na lewicę, otoczony zewsząd odbywa dyskusyę, podczas której poseł Dreszer wydziera mu koszyk. Za chwilę koszyk znajduje się już na lampie, a kartki leżą rozsypane na podłodze. Mimo to marszałek zarządza obliczenie głosów i ogłasza wynik, który ma oznaczać przyjęcie art. 37.

Marszałek wreszcie uznaje, że nadszedł czas zamknąć posiedzenie i wyznacza następne na najbliższy wtorek.

Sceny, które rozegrały się w Sejmie w dniu 5 listopada, uważać należy za „akt rozpaczy“ niektórych stronnictw, widzących, że, mimo trudności, przez nich stawiane, konstytucya będzie przecież uchwalona. Dotychczasowy Sejm, jako ustawodawczy, straci wobec tego racyę bytu, ich członkowie zaś mandaty poselskie, a wielu z nich dziś już wątpiło, czy napowrót powoła ich tam „zaufanie“ współobywateli, którego tak nadużyli.

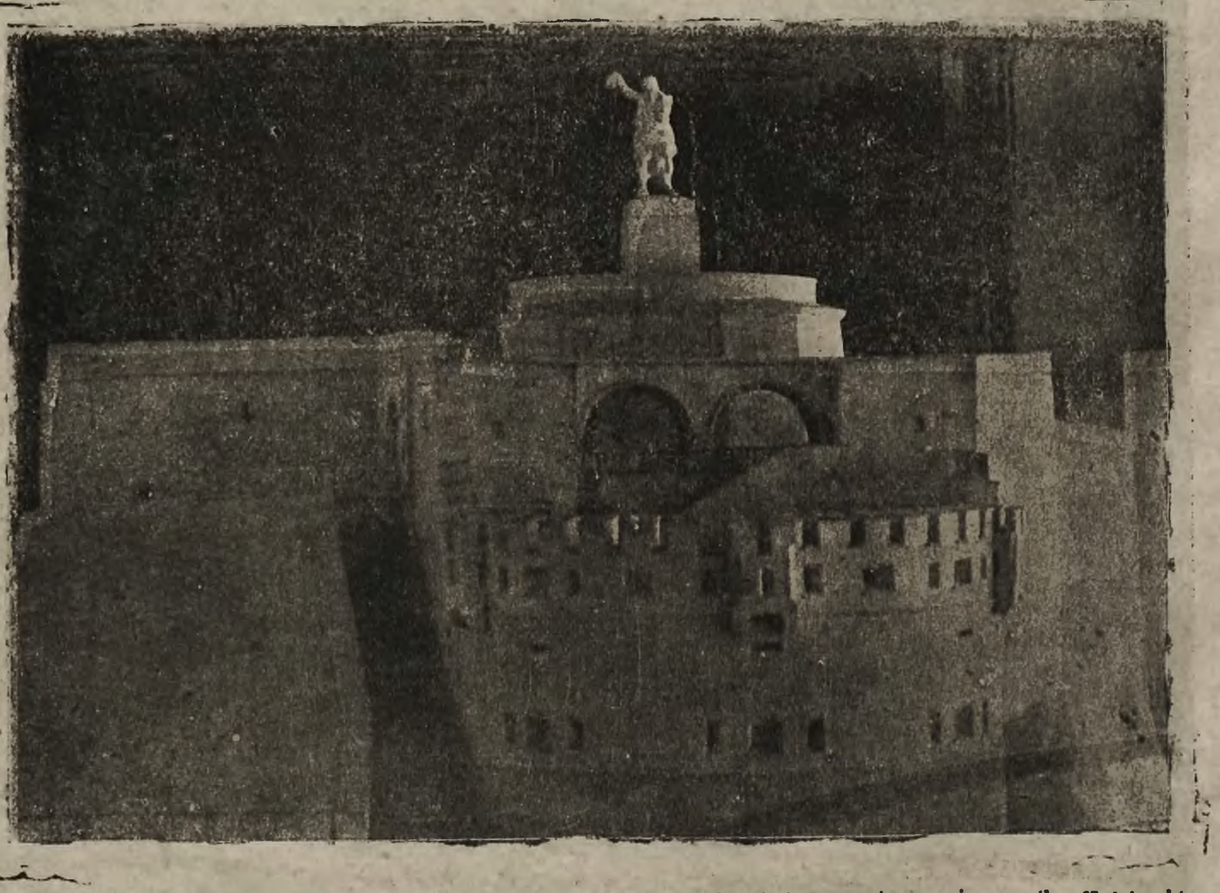
Gdzie mógłby stanąć pomnik Kościuszki?

Kraków może sobie powiedzieć śmiało, że nie ma szczęścia do pomników. Pomnik Mickiewicza przechodził różne koleje, nim się znalazł w Rynku, zbierano przedtem składki na pomnik Kazimierza Wielkiego, mówiono wiele o pomniku Dra Jordana, zdecydowano się wreszcie na oddanie pomnika Kościuszki, ale tylko po to, aby go ulokować na podwórzu koszar Straży ogniowej. Dotąd „znawcy“ spierali się o to, gdzie ma stanąć, gdy zaś ostatecznie zdecydowano, że na Rynku, obrano miejsce i poświęcono kamień węgielny, sprawa uległa znów zwłoce, gdyż pokazuje się, że niema pieniędzy na budowę cokołu. Nawet komitet budowy gdzieś się podział i ani rusz go odnaleźć.

A Kościuszko czeka tymczasem cierpliwie na chwilę wyzwolenia i dziękuje z pewnością Panu Bogu, że nie przypadł mu w udziale los Mickiewicza, który lata przebył ...w budzie, postawionej w Rynku.

Paderewski znał Kraków pod tym względem i dlatego wzniósł pomnik Jagiełły swoim kosztem, choć i to nie uchroniło go od przykrości ze strony „znawców sztuki“ i miłośników .. koltuneryi.

Aby ostatecznie rozwiązać kwestyę, gdzie ma stanąć pomnik Kościuszki, który jest już gotowy, wystąpił prof. Szyszko-Bohusz, kierownik odbudowy Wawelu, z projektem wcale trafnym. Propo-



Gdzie mógłby stanąć pomnik Kościuszki: Projekt profesora Szyszko-Bohusza umieszczenia pomnika Kościuszki na Rotundzie Władysława IV. na Wawelu.

nuje mianowicie ustawienie pomnika na Rotundzie Władysława IV, od strony ulicy Straszewskiego, u stóp wieży zegarowej. Komitet odbudowy Wawelu miałby go tam przewieźć i ustawić swym kosztem bez odwoływania się do opinii publicznej, co musiałoby być połączone z nową zwłoką.



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Komendant obywatel Markowski zdaje raport majorowi Gayerowi z patroli miastowej.

Stoki Wawelu zyskałyby piękną ozdobę, pomnik zyskałby godne pamięci Bohatera umieszczenie, a i sam zyskałby na tem, odbijając pięknie swą zielonawo-szarą patyną od różowego otoczenia budowli ceglanych, stanowiących dlań najodpowiedniejsze tło, co wpłynęłoby nawet na zrównoważenie tych braków artystycznych, jakie według opinii „znawców" wykazuje.

I te właśnie braki były powodem, że odmówiono pomnikowi Kościuszki gościny na Wawelu, oświadczając na posiedzeniu Komitetu, że „nie posiada odpowiednich artystycznych walorów", na Wawelu mogą znaleźć pomieszczenie same tylko arcydzieła.

Klamka zapadła, rekursu podobno niema! A szkoda!... Miejsce, obrane przez prof. Szyszko Bohusza, wydaje się nam być bardzo odpowiednie, odpowiedniejsze nawet od wyznaczonego na Rynku, gdzie pomnik straci dużo przez bezpośrednie sąsiedztwo wieży Ratuszowej. Poprostu zginie wobec jej ogromu, gdy natomiast na stokach Wawelu, na owej rotundzie, znalazłby miejsce bardzo malownicze, widziany zdaleka z całej długości ulicy Straszewskiego. Praca Marconiego i Popiela nie może też być bez wartości, czego tak się boją „znawcy". Nie może być tak lichą, skoro ją uwieńczono nagrodą!..

Projekt prof. Szyszko-Bohusza jest zatem bardzo na czasie i nie zasługuje na to, aby nad nim przechodzono do porządku dziennego.

Ochotnicza Legia obywatelska we Lwowie.

W czasach dzisiejszych taka jest wielka ilość skrótów nazw instytucyi, że jest się często w niepewności, co dany skrót oznacza; instytucya jednak, oznaczona skrótem O. L. O. - M. S. O. tyle zasług poniosła wobec polskiego społeczeństwa i tak jest znaną, że w całej Polsce niema człowieka, któryby nie wiedział, że są to inicyały lwowskiego oddziału Małopolskiej Straży Obywatelskiej, stanowiący część składową Ochotniczej Legii Obywatelskiej.

Instytucya ta jest przedewszystkiem dzieckiem Lwowa, zawsze bohaterskiego przedmurza Rzeczypospolitej. O ile czyn listopadowy był popisem młodzieży i kobiet dla zamanifestowania polskości Lwowa, to utworzenie tej instytucyi było czynem dojrzałych sfer obywatelskich, stwierdzającym raz jeszcze, że Lwów jest polskim i polskim zawsze zostanie.

Pierwsze zawiązki tej instytucyi powstały we Lwowie w roku 1914, gdy wojska austryackie pobite, ten gród opuściły, a wojska carskie go jeszcze nie zajęły. Wówczas obywatelstwo lwowskie organizowało się często dla zabezpieczenia, ładu i porządku i utworzyło Miejską Straż Obywatelską, czyli tak zwaną M. S. O. I rzeczywiście straż ta istniała kilka tygodni, w których obywatel pełnił służbę stójkowego, nim go zastąpił rosyjski „gorodowoj". Ówczesna jednak M. S. O. była co do swego charakteru przecież całkiem czem innem, niż M. S. O. z czasów polskich, tamta dała tylko dowód zmysłu organizacyjnego i energii tego grodu, ta zaś dała przedewszystkiem dowód jego polskości.

Gdy w pamiętny dzień listopadowy młodzież porwała za broń, by odeprzeć zuchwały napad na polskość stolicy wschodniej Małopolski, równocześnie myślące obywatelstwo organizowało ład i rząd na ziemi wrogowi odebranej.

Powstała więc sama organizacya obywatelska w t. z. „polskiej" części Lwowa, która wspierała oddziały walczące i zaprowadzała porządek za



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Członkowie Sekcyi I.

frontem. Zorganizowaniem tej instytucyi na „pol-skiej" stronie miasta zajął się sędzia okręgowy p. Mi-dowicz i to była pierwsza polska M. S. O., obecni-VI. dzielnica O. L. O.-M. S. O. we Lwowie; na p-miątkę czego tworzy ona kompanię czołową t-straży i piastuje sztandar, ofiarowany straży prz-obywatelstwo miasta Lwowa.

Oddział ten pomocniczym był nawet i na fronci-

Lecz nie tylko w „polskiej" części Lwowa t-straż się tworzyła, tworzyła się ona i w części, p-sostającej pod jarzmem Ukraińców.

Za sprawą patryotów tej miary, jak prezes S-koła lwowskiego, zasłużony druh Dr Czarnik, pr-fesor Dr Panek, dyrektor Banku krajów. Dr Szpo-powstała ta organizacya w konspiracyjnej form-dziesiątek i na ukraińskiej stronie miasta, spełni-jąc rozmaite zadania. Organizatorem był świe-z niewoli rosyjskiej przybyły rotmistrz inż. W-Solimirski. Organizacya ta rekrutowała mate-bojowy, który posyłała na polską stronę za pomo-bohaterskich kuryerek, jak ś. p. Solimirska, bra-nica rotmistrza; przemycała na drugą stronę w-domości o stanowiskach dział, karabinów maszyn-wych itp., a nadto przygotowywała wszystko-objęcia miasta po wyparciu Ukraińców. To też g-zajaśniał niezapomniany ranek 22 listopada 19-w którym z wieży ratusza spłynęła czerwono-bi-chorągiew, zawieszona tam ręką obecnego majo-Dr. Romana Abrahama, gotowe oddziały M. S.-stanęły do służby i już w nocy tego samego d-stłumiły usiłowania czarnych elementów, wypusz-



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Naczelnicy-komendanci wszystkich sekcyi Śródmieścia.

nych z więzień przez Ukraińców, wywołania niepokojów i rabunków.

Już pierwszego dnia stanęło do służby około 600 obywateli, a w następnych dniach stworzyła się już potężna organizacya, licząca do 12.000 osób, nad którą objął komendę wspomniany rotmistrz inż. Sulimirski.

Organizacya ta podzielona została na dzielnice, a w obrębie każdej dzielnicy na sekcye czyli strażnice, te zaś na zastępy, pełniące kolejno służbę.

Wkrótce skodyfikowano statut i regulamin służbowy tej organizacyi, który zatwierdzony został przez władzę.

Pod względem obywatelskim naczelną władzą tej instytucyi została Komisya organizacyjna, na czele zaś każdej dzielnicy i sekcyi stali wybieralni przez obywateli naczelnicy cywilni, zajmujący się administracyą i rozdziałem służby. W służbie zaś pozostawały dzielnice, sekcye i zastępy, pod komendą oficerów, przydzielonych przez wojsko.

Przy głównej komendzie M. S. O., pozostającej pod rozkazami rotmistrza Sulimirskiego, utworzono oddział sztabowy, jako osobną sekcyę, tak zwaną „Centralę", złożoną z najinteligentniejszych żywiołów, do której dostarczyło kontyngentu głównie Towarzystwo „Sokoła".

Zwoływaniem obywateli do służby i czynnościami manipulacyjnemi zajęły się koryerki.

Dla obrony Lwowa wyłonił się z M. S. O. oddział bojowy. Z ludzi, zdecydowanych walczyć na froncie, stworzono tak zwaną O. L. O. czyli obywatelską legię ochotniczą. Legia ta jeszcze 15 maja stała w rezerwie na wypadek zagrażającego przerwania frontu pod Laszkami-murowanemi przez Ukraińców.

Tak przeszedł maj i czerwiec 1919, ofenzywa ukraińska czerwcowa i polska lipcowa, nastały czasy spokojne, M. S. O. powróciła do pierwotnych swych czynności.

Tu wspomnieć należy jeszcze o jednym oddziale M. S. O., t. j. oddziale M. O. K.

Z najdzielniejszych i najinteligentniejszych kuryerek powstał jeszcze w styczniu 1919 oddział zbrojny „Milicyi Obywatelskiej Kobiet", jako oddział obywatelski w przeciwstawieniu do organizacyi O. L. K. „Obywatelskiej Legii Kobiet", pełniących służbę przy każdym D. O. G., a będących oddziałami ściśle wojskowemi — zaprzysiężonym żołnierzem-kobietą. Dzielne te niewiasty, nie chcąc być żołnierzem w całem tego słowa znaczeniu, utworzyły jednak oddział straży obywatelskiej kobiecej.

Po cofnięciu się armii naszej z nad Dniepru, nastały znowu ciężkie chwile, wojskowość zaapelowała do organizacyi obywatelskich, przedewszystkiem do M. S. O., z wezwaniem do objęcia służby wartowniczej w mieście, t. j. zastąpienia żołnierza przy stałych wartach przed objektami wojskowymi. Zarządzenie to umożliwiło wysłanie do boju w chwili najkrytyczniejszej całego batalionu piechoty. M. S. O. odpowiedziała gotowością objęcia służby. M. S. O. więc zmilitaryzowano wraz z podobnemi do niej organizacyami „harcerzy" i „strzelca" i połączono z organizacyą O. L. O., pozostającą pod wspólną komendą i tworzącą etapy Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej. Nazwę O. L. O. przejęto z dawnej organizacyi, gdy jednak O. L. O. z roku 1919 stanowiło pojęcie szersze, M. S. O. zreorganizowano pozostawiając organizacyę dzielnic i sekcyi, podzielono ją jednak na plutony, tworząc kilka zastępów, a naczelnikom nadano charakter komendantów wojskowych.

M. O. K. wchodziła w skład centralnego pogotowia i świeciła przykładem mężczyznom, spełniając służbę ofiarnie i bez skrzywienia, zachowując się przytem z powagą i rutyną starego żołnierza.

Obecnie M. S. O. zdemilitaryzowano, O. L. O. zniesiono i organizacya pozostaje jako cywilne zrzeszenie. Daj Boże jak najdłużej. *Habdank.*



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Członkowie pogotowia „Centrali".

Święto umarłych.

(Do illustracyi na str. 9).

Miesiąc listopad, w szczególności zaś drugi jego dzień, Dzień Zaduszny, poświęcony jest pamięci Zmarłych. Na cichem zwykle miejscu wiecznego spoczynku rojno wtedy i gwarno, każdy śpieszy tutaj, aby na grobie swych najbliższych poświęcić gorące westchnienie ich pamięci. Znajdzie się tam nieraz i obcy, nie mający w tem mieście Zmarłych nikogo ze swoich. Nie sprowadziła go tu ciekawość, jak ubrane groby, ale potrzeba serca, skoro dziś nie może być tam, gdzie ziemia kryje jego najbliższych. A niema między nami nikogo, kto nie opłakiwałby jakiejś straty. Nawet największy mizantrop i odludek znajdzie w swem wystygłem sercu kogoś z tych, co już odeszli, skąd się nigdy nie wraca, któremu bodaj ciche należy się w tym dniu wspomnienie. Za szczęśliwych uważają się mający blisko siebie drogie niegdyś sercu osoby, bo ileż to rodzin opłakuje stratę swych członków, których śmiertelne szczątki kryje gdzieś na obczyźnie zapomniana mogiła. Nikt dziś na niej świeczki nie zaświeci, przechodzień nawet nie wie, że pod jego stopami spoczywają snem wiecznym ci, których los nieubłagany wbrew ich woli zapędził w te strony.

Kult dla zmarłych jest tak dawny, jak i ludzkość, a pamięć o nich łączy minione wieki z obecnymi czasami. Pamiętając o tych, którzy już zeszli z tego świata, pamiętamy zarazem i o tych, którzy nasze zajmą miejsce, a nam kiedyś rzewne poświęcą wspomnienia.

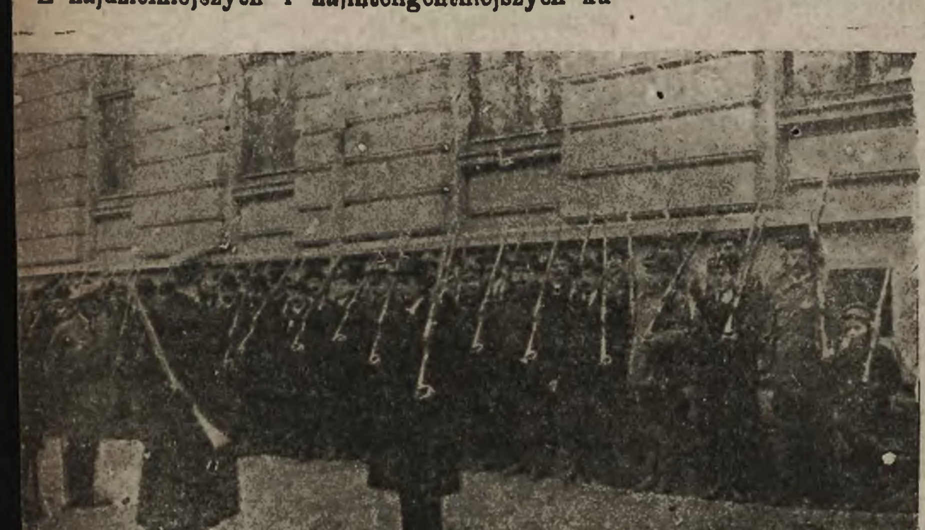
Każdy naród oddaje w inny sposób cześć pamięci Zmarłych. U nas jest w zwyczaju zdobienie w ten dzień ich grobów płonącem światłem, kwieciem i zielenią. Bogatsi wydają na zdobienie grobów swych Zmarłych nieraz pokaźne sumy, które mogłyby być użyte na jakiś cel szlachetny, ich pamięci poświęcony, największy biedak zdobędzie się na świeczkę lub bodaj skromny wianuszek, aby dać dowód swej o nich pamięci.

W wojennych latach zebrała nieubłagana śmierć obfitsze żniwo, niż po inne lata, rojniej też było na cmentarzu od tych, którzy przyszli odwiedzić Zmarłych. Nie było wprawdzie tyle wystawności, jak w czasach przedwojennych, było natomiast więcej powagi i skupienia ducha.

Kraków obchodził ten dzień, jak corocznie. Lwów, który dopiero niedawno uwolnił się od grożącego mu niebezpieczeństwa, skorzystał ze sposobności, aby oddać hołd pamięci tych, którzy w jego obronie życie położyli. Lwowskie Zaduszki miały charakter manifestacyi narodowej, w której wzięły udział tysiące ludności wszystkich stanów.

Nad grobami „obrońców Lwowa", których liczba wzrosła w tym roku, przemówił w gorących słowach major Dr Abraham, jeden z najpopularniejszych osobistości dzisiejszego Lwowa, nieustraszony szermierz o jego wolność i polskość. Ten, który ich w bój prowadził, dziś słowa serdecznego wspomnienia poświęcił pamięci swych towarzyszów broni. Następnie udano się na groby francuskich żołnierzy, gdzie zabrał głos francuski pułkownik De Renty. Złożono także wieńce na grobach powstańców z roku 1863.

I polskie lotnictwo, choć tak młode, ma na lwowskim cmentarzu swe ofiary. O nich także nie zapomniano.



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Sekcya III. przed objęciem służby składa raport swemu naczelnikowi.



Ochotnicza Legia Obywatelska we Lwowie: Komendantka O. L. O. składa raport mjr. Gayerowi przed rozdziałem służby.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

17

— Za trzecim razem, to jest wprost nie do uwierzenia... ujrzałem go w kościele Św. Piotra, gdzie byłem w towarzystwie kilku pań.

— I znikł także?

— Jak szpilka w sianie!

— Kościół Św. Piotra jest duży!

— I zauważ Robercie, że nie wiedziałem, że nie wiem dotąd kto jest ten człowiek, nikt mi o nim nic nie mówił, nikt nie ostrzegł... a jednak jestem przekonanym, że ten człowiek jest prześladowcą moim i Racheli. Wydaję ci się szalonym... nieprawdaż?

— Nie — odparł Robert. — Wydajesz mi się człowiekiem zrównoważonym Takie intuicye, takie przeczucia istnieć mogą. Miałem je również.

— Ty także!? A więc mnie zrozumiesz, Robercie! Ale jest jeszcze coś innego. Doświadczam czegoś dziwnego. Czy ci się zdarzyło kiedy wejść do jakiegoś miejsca absolutnie ciemnego i doznać wrażenia, że się tam ktoś znajduje. Nie widzisz nic, nie słyszysz nic, ale jednak czujesz, że nie jesteś sam. Otóż ja tego doświadczam. Czy w dzień na ulicy, czy też w nocy u siebie, jestem sam, a jednak ktoś jest ze mną. Wszędzie, o każdej porze, czuję, że „on" jest przy mnie i niewiem gdzie i na jaką odległość!

— To dziwne! to dziwne! — szepnął Robert.

— Teraz naprzykład on jest niedaleko nas — ciągnął dalej Lambertini. — Czy nie słyszałeś jego głosu?

— Być może, że ja znam ten głos — odparł cichym głosem Alimena.

— Jakto? Czy to być może? Oh! mów-że... mów, Robercie! dopomóż mi do rozjaśnienia tych ciemności!

— Mój kochany — odparł szeptem Robert — rozumiesz, że nie mogę ci powierzyć mojej tajemnicy tutaj, na ulicy. Ale przysiądz mogę, że ona ma pewną łączność z twoją.

— Doprawdy! Czyżbyśmy przypadkiem poszukiwali tego samego człowieka! — zawołał z osłupieniem Ranieri.

— Ja szukam kobiety!

— „Nie znajdziesz jej" — szepnął ktoś obok nich.

Tym razem obydwaj przyjaciele byli przekonani, że słowa te wyrzekł mały chłopiec, który przechodził właśnie z koszami pełnymi kwiatów. Ale zanim mogli doskoczyć do niego, chłopak znikł w tłumie.

Robert spojrzał na przyjaciela i twarz jego pobladła silnie!

— To coś nadzwyczajnego! — zawołał, nie panując już nad sobą.

— Wyjadę z nią... wyjadę z nią jak najprędzej — wyrzekł energicznie Lambertini.

W milczeniu skierowali się z powrotem na plac Sciazza. Zastali już tam Helianę Love, która zaczęła im dawać znaki, by się zbliżyli.

— Chodźmy na chwilę do niej — rzekł Robert. — Uspokoi to nam trochę nerwy. Ta atmosfera tajemnicy dusi mnie nieznośnie.

— Masz słuszność. Zresztą żyjemy jeszcze... nieprawdaż? — zaśmiał się nerwowo Lambertini. Wróg nasz nie tak prędko zdoła się nas pozbyć.

— „Prędzej niż się wam zdaje" — szepnął ten sam głos w przelocie.

Tym razem zdawał się płynąć z balkonu, na którym pełno było młodych dziewcząt i kobiet, rzucających kwiaty na ulicę.

— Nie myślmy już o tem! Nie myślmy! — wyrzekł z niecierpliwieniem Robert. — Chodźmy do Heliany.

Aktorka przyjęła ich z miłym uśmiechem, kiedy niespodzianie wskoczyli do jej powozu i nie przerywając walki kwiatowej, zaczęła rozmawiać z nimi z ożywieniem, wybuchając co chwila wesołym śmiechem.

— Dlaczego zakryłaś twarz welonem? piękna Heliano! — zapytał Robert. — Pozbawiasz nas najpiękniejszego widoku na świecie.

— Lękam się o swoje oczy! — odpowiedziała znacząco.

W tej chwili przejeżdżał obok nich powóz hrabiny Loredana. Leżała niedbale wsparta o poduszki, z wyrazem zmęczenia w ciemnych oczach. Dostrzegła jednak przyjaciół i unosząc się cokolwiek, zawołała donośnie:

— Zdrajcy! jesteście zdrajcy! Musicie mi zapłacić za to! Hrabio Alimena oczekuję pana u siebie jutro wieczorem!

— Kto jest ta bezczelna kobieta! — zapytała Heliana rozgniewana.

— Dama.

— Ale jaka?



Obok kobiety siedziała mała istota, owinięta w czarne domino.

— Dama, moja kochana.

— W każdym razie bardzo źle wychowana.

— Być może!

— W którym z was jest ona zakochana? — zapytała Heliana, spoglądając z rozdrażnieniem na obydwu młodych ludzi.

— W obydwóch! — zaśmiał się Robert.

— W obydwóch! — powtórzył Ranieri, wybuchając śmiechem.

— Zarozumialcy!

— Ty także Heliano, kochasz nas obydwóch... nieprawdaż? — zażartował Robert.

— Ja? Ani mi się śni! — zawołała obrażona, odwracając głowę.

— No, no, nie dąsaj się kochana przyjaciółko! — uspokajał ją Ranieri.

Przejazd powozów stawał się już teraz coraz powolniejszy. Na ulicach zapalano latarnie, podczas kiedy po balkonach rozbłysły gnienie-gdzie ognie sztuczne. Deszcz kwiatów ustał, od czasu do czasu tylko padł już zwiędnięty kwiat na zabrudzony chodnik i legł wśród prochu i szczątków różnorodnych papierów.

Za każdym razem kiedy powozy jadąc w defiladzie dojeżdżały do końca Corsa, na placu ludowym, musiały okrążać obelisk, aby z powrotem pójść za biegiem właściwym i wówczas natłoczenie ekwipaży stawało się tak wielkie, że musiały one zatrzymać się na chwilę, aby nie spowodować wypadku. Teraz jednak pod wieczór natłok nie był już tak silny i powozy zatrzymywać się nie potrzebowały.

Viktorya Heliany Love, w której znajdował się Robert z Ranierim, zatrzymała się również tylko na krótką chwilę przy fontannie. Widok tu był wspaniały.

We wszystkich powozach rozpalono ognie sztuczne, paliły się one również na trybunach i na placu publicznym, rzucając różnokolorowe refleksy na mury kamienne, wodę fontanny i drzewa parku Pencio.

— Oh! jakie to ładne! — zawołała Heliana, stojąc w powozie, bijąc w ręce jak rozbawione dziecko.

W tej chwili powóz zaprzągnięty w dwa konie wyjechał z bramy ludowej, od strony willi Borghèse, lub też z przedmieścia Rzymu.

Powóz ten przejechał tuż obok viktoryi Heliany Love. Siedziała w niej kobieta, a właściwie cień kobiety, owiniętej w długą, białą suknię, ułożoną w fałdy jak starożytna tunika. Obszerny płaszcz, również biały, bez rękawów, zarzucony był na tę suknię. Biały kaptur wełniany okrywał całą głowę, pod szyją zaś wstążka jedwabna, związana w duży węzeł, kryła cały dół twarzy. Jedne tylko oczy widniały zaledwie z poza maski czarnej, szczelnie przylegającej do skroni.

Obok kobiety siedziała mała istota, owinięta w czarne domino. Nie było można odgadnąć czy to była kobieta, czy mężczyzna. Istota ta wydawała się ułomna. Czarny kaptur i maska czarna zasłaniały również twarz całą.

Stangret, siedzący na koźle, ubrany był w liberyę niebieską, z żółtemi wyszywkami, bardzo elegancką i bogatą. Konie zaś były wielkiej wartości, rosłe i rasowe. Powóz w dosyć szybkiem tempie przesunął się obok viktoryi Heliany.

Młoda kobieta spojrzała w tę stronę i zawołała ze zdziwieniem:

— Patrzcie na tę kobietę, moi przyjaciele! czy nie podobna ona do widma!

Obydwaj młodzi ludzie zadrżeli mimowoli. Wychylili się z powozu, ale zaledwie mogli dojrzeć biały płaszcz, migający się w oddali.

Robert spojrzał znacząco na przyjaciela, lecz nie wyrzekł ani słowa.

— I jak zazwyczaj, mały, wstrętny mąż, obok wysokiej, pięknej kobiety — wyśmiewała się Heliana —. Brzydki i może garbaty.

— Naprawdę? — wykrzyknął Robert Alimena, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

— Tak, tak, tak bywa zwykle! — zaśmiała się wesoło Heliana Love.

Raz jeszcze odwrócili się szybko, aby ujrzeć tajemniczą parę, ale było to już niemożliwe. Powóz widma, jak mówiła, śmiejąc się Heliana, nie znikł jeszcze, tylko złączył się z defiladą, ciągnącą się z placu ludowego do placu weneckiego i na razie nie mógł być widocznym, bo był zasłoniętym innymi powozami.

— Heliano!

— Co takiego Robercie!

— Musimy koniecznie dowiedzieć się, kto jest w tym powozie.

— Co to, mój kochany? awanturka? — zapytała podrażnionym głosem.

— Nie, nie, Heliano. Rzecz może bardzo poważna.

— Dla ciebie Robercie?

— Dla mnie i dla Ranieri'ego.

— Pojedynek?

— Nie zadawaj mi pytań, bo nie mogę ci na nie odpowiedzieć. To nie są żarty, zaręczam ci. Starajmy się dopędzić ten powóz.

Wszyscy troje, zmieszani trochę, powstali z siedzeń, by porozumieć się ze stangretem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

20

I.

Ale teraz należało stawić czoło Szulcowej, która od dłuższego już czasu porozumiewała się wzrokiem z córką i uśmiechała się ironicznie, więc Gawlikowa otrząsnęła się z chwilowego znużenia, jakie ją objęło i gotowa stanęła do boju. Na szczęście jednak, stary Franciszek, strzegący egoistycznie honoru domu, w którym służył, pilnie od samego rozpoczęcia kolacyi czuwał nad zachowaniem się Gawlikowej, w której takt towarzyski nie ufał wcale i teraz, zauważywszy niebezpieczny nastrój obu pań, stanął za jej krzesłem, szepcząc dyskretnie:

— Już czas, żeby pani dała znak do odejścia od stołu. Niech panie przejdą do salonu, a ja panom do gabinetu podam czarną kawę i cygara.

Uwaga ta otrzeźwiła Gawlikową. Podniosła się z godnością, a za nią ruszyli się wszyscy od stołu.

Świt już szarzał, kiedy zaproszeni goście opuszczali mieszkanie Gawlików.

Hrabia Gucio, oszołomiony, chwiejący się na nogach, uczepił się kurczowo ramienia ex obywatela i ciągle coś mrucząc pod nosem, wlókł się za nim senny, rozmarzony, po pustych ulicach miasta, zdążając do swojego mieszkania.

— Wcale udatny wieczór — co? Wysadzili się, niema co mówić! Przeklęte parweniusze! Chodź, cher ami do mnie! Mam tam jeszcze niezgorszą buteleczkę likieru. W gardle mi już zaschło!... Wysączymy ją pomalutku i może w mózgu się trochę rozjaśni, bo dalibóg że nie wiem, co z tym fantem zrobić?

— Z jakim fantem? — zbudził się z zamyślenia ex obywatel i ziewnął tak głośno, że aż echo rozeszło się daleko.

— A no z tą panną. Z mademoiselle Gawlik. Awanse robi, oczami zawraca...

— Zachciało jej się dziewięciopałkowej korony... — zaśmiał stary.

— A ja nie wiem, czy mam ją sprzedać — westchnął hrabia Gucio, opierając się o mur kamienicy, gdzie melancholijnie zwiesił głowę, spoglądając na czubki swoich lakierowanych bucików.

Długą chwilę stali naprzeciw siebie, nic do siebie nie mówiąc. Myśli ich ociężałe alkoholem, wlokły się sennie po mózgu. Jakaś apatya i zniechęcenie ogarnęły hrabiego Gucia. Oderwał się w końcu od muru i zaklął cicho:

— Ah! psiakrew! takie życie! Córka sklepiczarki i zbankrutowany hrabia! Dobrana para! Dieu me pardonne! Zdaje mi się, że rasa nasza całkiem na psy schodzi!...

VII.

Gawlik, zły i nachmurzony siedział w kawiarni Bizanca. Dochodziła już godzina jedenasta, a interesanci, z którymi umówił się na godzinę dziesiątą, nie nadeszli jeszcze. Sprawa, którą miał załatwić, ważna była. Chodziło o większą sumę, którą miał ze wspólnikami zarobić i na którą jeszcze przed południem miał otrzymać zadatek przy spisaniu umowy u adwokata.

Już zaraz przy wejściu popsuł mu humor picolo. Podbiegł w podskokach do wchodzącego Gawlika i z łobuzerskim, zuchwałym uśmiechem skłonił mu się aż do ziemi, wykrzykując głośno:

— Moje uszanowanie, jaśniemu panu! Padam do nóżek panu hrabiemu! Zaraz będzie kawka, bułeczki świeże! A dzienniczki jakie? Figaro, Temps, czy Neue Presse! Ah! już wiem, co jaśnie panu najlepiej dogodzi! Kuryerek! Właśnie piszą tam o jednym paskarzu, którego nakryli. Posiedzi biedaczysko parę latek! posiedzi! Hej! tam, ty mały! — zawołał do drugiego chłopca przez całą salę. — Dawaj tu Kryerek panu hrabiemu! Na jednej nodze, słyszysz!

Gawlik nawet nie rzucił okiem na przyniesioną gazetę. Wcisnął się w róg kanapy i zaczął wyglądać oknem na ulicę. Zdawało mu się, że się wszyscy patrzą na niego. Podana przez picola wiadomość o aresztowaniu paskarza, niemile go dotknęła. Od pewnego czasu coraz głośniej mówiono po mieście o różnych wykrytych składach nagromadzonych towarów, o rewizyach, odbywających się u osób, na które prokuratorya miała pewne podejrzenia o energicznem tępieniu lichwy handlowej.

A Gawlik sumienie miał dosyć już obciążone. W piwnicy swojej miał nawet ukryte kilka dużych pak z czekoladą i cukru i czekał tylko na zwyżkę cen towaru, aby go pokątnie na rynek zbytu rzucić. W najbliższych zaś dniach miał wyjechać po zakupno sacharyny do Warszawy, którą również do najsposobniejszego czasu miał zamiar u siebie przechować.



— Takiego drzewa to pan jeszcze nie widział — uniósł się anemiczny, z wyblakłemi oczami żydek, nerwowo gestykulując rękami.

Gawlika niepokój zaczął ogarniać. A gdyby tak na niego miała przyjść podobna klęska, jak owego paskarza z Kuryerka? Ludzie są ciekawi, podpatrzeć mogą, wyśledzić, zdradzić! Stróż z kamienicy co prawda nie wiedział o niczem, zresztą Gawlik po pańsku go opłacał, ilekroć mu o późniejszej godzinie bramę otwierał, ale zawsze jakieś słówko, rzucone przy służbie, mogło dojść do niego. Za służbę także nie mógł ręczyć. Katarzyna i stary Franciszek dosyć solidnie się przedstawiali, ale nowo przyjęta pokojówka, Rózia, nie podobała mu się, choć szelma tak gorącemi ślepiami zerkała na niego, że aż go nieraz ciarki przechodziły. Zanadto była ciekawa, ciągle kręciła się po mieszkaniu, a nawet złapał ją, jak podsłuchiwała pod drzwiami sypialnego pokoju, gdzie właśnie znajdowała się żona z Kazią.

Zgryziony temi myślami Gawlik nie mógł nawet dopić kawy, przyniesionej przez kelnera. A wspólnicy jak na złość nie nadchodzili.

Kręcki to zawsze lubił się spóźniać, ale ci kupcy, co mu ofertowali drzewo do kupna, już dawno być tu powinni. Niecierpliwie sięgnął po papierosa, spojrzał na salę i zaraz twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem.

Do kawiarni wchodzili oczekiwani kupcy i bez pośpiechu zbliżali się do jego stolika.

— Ale panowie dali mi długo czekać na siebie! — przywitał ich z lekką wymówką Gawlik.

— No, co pan myśli, że my innych interesów gie mamy? — odpowiedział starszy z nich, opasły, rudawy żyd, szeroko rozsiadający się na aksamitnej kanapce. — My z synem od rana gonimy i także czekać na jednego musieli. Co jest? ma pan tego kupca na drzewo?

— Mówiłem wam jeszcze wczoraj, że jest, ale on chce suchego drzewa, rozumie pan! jeżeli drzewo pana nie jest takie, jakiego ja potrzebuję, to nic z interesu nie będzie — rzekł stanowczo Gawlik, który jeszcze w ostatniej chwili chciał coś utargować na odsprzedaży. — Niech mnie więc pan w błąd nie wprowadza, panie Gold!

— Co niema być suche! — oburzył się kupiec. — No, powiedz ty Jakób — zwrócił się do syna, — czy to drzewo nie jest prima sorta! To brylant, nie drzewo!

— Takiego drzewa to pan jeszcze nie widział! — uniósł się anemiczny, z wyblakłemi oczami żydek, nerwowo gestykulując rękami. — Pan takiego za tę cenę nigdzie nie znajdzie!

— Tylko siąść do spisania umowy i interes skończyć — dorzucił stary Gold. — A zadatek pan ma?

— Za godzinę mogę mieć — odparł Gawlik, niecierpliwie spoglądając ku drzwiom, bo zdawało mu się, że z drugiej sali dobiegł go gruby, ochrypły głos Kręckiego.

Rzeczywiście w kilka chwil później podszedł do stolika Kręcki i protekcyonalnie podawszy rękę Gawlikowi, usiadł na kanapce, obojętnie patrząc na kupców, którzy na jego widok przybrali miny poważne i pokorniejsze trochę.

— Ja teraz muszę lecieć do adwokata spisać ostateczną umowę z tamtą stroną — szepnął cicho do ucha Kręckiemu Gawlik.

— No to leć pan — wzruszył ramionami Kręcki i odwrócił się plecami do niego, patrząc na salę, w taki sposób, jak gdyby go towarzystwo, siedzące przy stoliku, wcale nie obchodziło.

Gawlika jednak to zachowanie wspólnika nie dotknęło. Wiedział, że Kręcki w dyskretny tylko sposób przystępował do interesów, niechcąc się nigdzie afiszować własną osobą. Przed ewentualnem jednak oszustwem umiał się przecież w prywatnej, spisanej umowie tak doskonale obwarować, że dotąd nigdy ani na halerza poszkodowanym nie został.

Teraz, twarzą zwrócony do sali, Kręcki ani jednego słowa nie wypuścił z rozmowy wspólnika z żydami.

Na jowialnej, zawsze uśmiechniętej jego twarzy, nie było jednak łatwo poznać skupienia myśli, lub wysiłku wytężonej uwagi. Miał wyraz twarzy człowieka, który z przyjemnością słucha opowiadania jakiegoś wesołego dowcipu.

— Pan musisz pojechać to drzewo obejrzeć — rzucił w pewnej chwili przez ramię.

— Obejrzeć? — zdziwił się Gawlik.

— Tak. Widocznem jest, że Gold coś kręci.

— Co ja mam kręcić! — oburzył się stary kupiec, podekakując na kanapce. — Dlaczego wielmożny pan mówi, że ja kręcę. Interes czysty jak złoto. Drzewo jest, kupiec na niego jest, co trzeba więcej. My dziś do umowy z panem Gawlikiem idziemy. Na co oglądać, jeździć i czas darmo tracić?

— Umowę możesz pan spisać i zadatek od tamtych wziąć — wyrzekł po chwili zastanowienia Kręcki, odwracając się lekko do Gawlika. — Ale obejrzeć drzewo pan pojedzie.

— No, chyba że tak — uspokoił się Gold i zerknął ukradkiem na syna. — Jak pan spisze z nami umowę, to jechać może... czemu nie? Interes dziś zrobiony być musi. Jak pan Gawlik zwlekać będzie, to ja innych kupców znajdę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

25

jak wyszli, Barondi z nimi się pożegnał i zaprosił ich na następny dzień, na herbatę na „Lonlią", tak się nazywał jego Dahabijah.

— Wieczorem będę musiał odpłynąć do Arment — rzekł — czy to panią nie znudzi przyjść?

Mówił grzecznie, lecz dość obojętnie, ona mu odpowiedziała takim samym tonem:

— Dziękuję, będzie mi bardzo przyjemnie. Dobranoc. Muzyka była śliczna.

Wysoka jego postać znikła w ciemności.

Kiedy ich opuścił, zapanowało milczenie. Nigel uczynił ruch, jakby ją chciał wziąść pod rękę, lecz się wstrzymał, i szli oddzielnie, obok siebie, brzegiem rzeki, nic nie mówiąc. Doszli tak do willi, do tarasu, przed salonikiem; wreszcie Nigel się odezwał:

— Czy... czy idziesz zaraz do siebie Ruby?

— Tak.

— Ja... czy zawołasz na mnie ze swego okna prędko?

— Poco?

— Kiedy będę mógł przyjść. Po tem co zaszło z rana, muszę z tobą pomówić, zanim zaśniemy.

Spojrzała na niego, potem w dół, opierając swą białą twarz na ciepłem, białem, gronostajowem futrze.

— Zawołam — rzekła.

Jak odeszła, patrzał za nią, myśląc jak niezwykle wysoką się wydawała w długim, białym płaszczu. Przechadzał się tam i napowrót, nasłuchując jej wołania, które po chwili, wydającej się mu bardzo długiej, dało się słyszeć.

— Nigel! możesz teraz przyjść... jeżeli chcesz.

Poszedł na górę, prosto do jej pokoju i ujrzał ją siedzącą w fotelu, przy szeroko otwartem oknie, wychodzącem na balkon. Była w wolnej, powiewnej, białej sukni, z rękawami, spadającymi z ramienia jak skrzydła.

Pokój był oświetlony dwoma świecami, stojącemi na biurku i bladem światłem księżyca, które jakby ukradkiem, lecz uparcie wpływało ze śpiącego cicho Egiptu, na którego ciepłem łonie się znajdowali. Stał chwilę, poczem usiądł na małej sofie nie obok niej, ale blisko.

— Ruby — rzekł.

— Co Nigel?

— To był mój pierwszy nieszczęśliwy dzień, od naszego ślubu.

— Nieszczęśliwy?

— Tak, gdyż chmura stanęła między nami.

Nic nie odpowiedziała, a on mówił dalej:

— To dało mi jednak coś poznać Ruby. To dało mi poznać, jak bardzo dbam o ciebie.

Pochylił się naprzód, a jej przyszedł na myśl Barondi, i przypomniała sobie dokładnie jego ramiona i szyję, kiedy się do niej pochylił.

— Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy. Co mnie objaśniło, to sposób, w jaki odczułem, że cię uraziłem, że wyrządziłem ci krzywdę. Ruby, moje własne uczucie ukarało mnie tak bardzo, że nie myślę, żebyś pragnęła ukarać mnie więcej.

— Karać ciebie! — zawołała, ale co złego mi uczyniłeś i za co miałabym cię karać?

— Wyrządziłem ci krzywdę. dziś rano, myśląc przez chwilę... zatrzymał się, czuł, że nie może jasno tego wyrazić — o Harwichu, o chłopcach — zakończył.

— Ah! to! To nic nie znaczy! — rzekła.

Mówiła chłodno, lecz czuła się więcej podniecona, więcej wzruszoną, niż przypuszczała, że być może.

— To znaczy bardzo dużo; lecz nie zdaje mi się, że tak istotnie myślałem.

— Owszem, myślałeś — rzekła ostro.

Wyprostował się, jak człowiek silnie ugodzony.

— Myślałeś to. Nie staraj się wykręcać, Nigel.

— Ruby, ja się nie wykręcam. Czy nie powiedziałem?

Lecz mu przerwała.

— Myślałeś to, co wszyscy myślą... że jestem chciwą, bez duszy kobietą, że nawet wyszłam za ciebie — położyła nacisk na zaimek — dla nędznej, marnej ambicyi, zostania kiedyś Lady Harwich. Myślałeś to Nigel, myślałeś.

— Przez chwilę — rzekł.

Wstał z sofy i stanął przy oknie. Czuł się jak człowiek, w chwili przełomowej, który wie, że to co powie, i jak powie, z jaką głębią szczerości i ciepłem serdecznego uczucia, może, a nawet musi utkać przyszłość.

— Na chwilę myślałem, że może, wychodząc za mnie, myślałaś, że kiedyś zostanę Lordem Harwich.

— Naturalnie.

— Al-leh!

Przez otwarte okna, nadleciał daleki, nosowy głos nubijskich żeglarzy, rozpoczynających pieśń o Nilu, na dolnym pokładzie Lonlii. Towarzyszyły mu uderzenia darabukkeh, brzmiące jakby dziwne, nieustające tętno nocy, wymykające się z cieniów tajemnicy i piękności, w których byli zanurzeni.

— Ruby... staraj się zrozumieć... myślę, że była pokora w mojem uczuciu, że się dziwiłem, że trudno mi było uwierzyć, że dbasz o mnie samego.

— Dlaczego ty, albo ktokolwiek macie myśleć, że dbam o kogo?

— Myślałem tak w Londynie, myślę tak i tutaj, i zawsze tak myślałem... zawsze. Jeżeli inni nie ufali tobie, ja nie byłem jak oni. Wątpisz?

Postąpił krok naprzód i spoglądał na nią.

— Mogę tego dowieść.

— Ah... jak?

— Mayer Iseacson wie o tem.

Nie powołał się na swoje z nią małżeństwo, jako dowód już dany, gdyż to mogło oznaczyć coś innego niż wiarę w ukryte jej pragnienia dobra i piękna.

— I czy ty... czy ty nie wiesz o tem, nawet po tem, co dziś rano zaszło.

— Po tem, co zaszło z rana... nie chcę się narazić... lecz po tem, co zaszło dziś rano, musisz mi tego dowieść... kompletnie dowieść, inaczej nie uwierzę.

Solowy głos Nubijczyka utonął w chórze głosów, który nadpłynął z Nilu.

— Nie chcę być zimną — ciągnęła — nie chcę się dąsać, ale nie można zapomnieć niektórych rzeczy. Byłam zmuszoną zapatrywać się sceptycznie na mężczyzn. Nie chcę zawracać w moje życie. Lecz taka rzecz, jaka zaszła dziś rano, musi wzniecić wątpliwości w kobiecie mającej takie doświadczenie jak ja. Mogłabym łatwo powiedzieć ci kłamstwo, Nigel. Mogłabym rzucić się tobie w objęcia, zapewniając, że wszystko zapomniane, że nigdy o tem nie będę myślała i tym podobne rzeczy. Byłoby najprostszą rzeczą w świecie odegrać podobną komedyę. Ale byłeś dla mnie dobry, kiedy byłam samotną, dbałeś o mnie dostatecznie, żeby się ze mną ożenić, i — dość, że nie chcę tego uczynić. Powiem prawdę, oto ona: nie mogę nie wiedzieć, że wątpiłeś o mnie, i to mnie ani trochę nie dziwi, i nie czuję się w prawie być dotkniętą, ale, mając prawo, czy nie byłam dotkniętą, i trzeba będzie trochę czasu na to, żebym się czuła z tobą zupełnie bezpieczna — zupełnie bezpieczna — jak to jest możliwe tylko wtedy, kiedy wierzą i ufają naszej szczerości.

Mówiła spokojnie, lecz on czuł podniecenie pod tym pozornym spokojem.

Ustawicznie po przez Nil dochodziła pieśń nubijskich żeglarzy.

— Nie jestem zdziwiony, że tak czujesz — rzekł. Stał chwilę zamyślony, poczem znowu usiadł i zaczął mówić stanowczo, jakby go pobudzała namiętność:

— Ruby, sprzeniewierzyłem się dziś samemu sobie, gdyż sprzeniewierzyłem się mojej rzeczywistej, głębokiej ufności w ciebie; w Londynie, myślałem, że dbasz o mnie, nie z powodu mojej osobistości, lecz że czułem, jak inni ciebie nie rozumieją. Zdawało mi się i teraz się zdaje, że mogę odpowiedzieć na twoje pragnienia, na które nikt inny nie starał się, ani chciał odpowiedzieć. Inni zdawali się myśleć, że pragniesz tylko rzeczy, które w rzeczywistości nic nie są warte — pieniądze, zbytek, klejnoty, stroje — wiesz, o czem mówię. Ja czułem, że twojem rzeczywistem pragnieniem było, muszę otwarcie powiedzieć, być kochaną, bez pożądliwości; być proszoną o coś, a nie tylko przyjmować. Czułem to, zdawało mi się, że wiem. Czy nie miałem słuszności?

— Dzisiaj — nie wiem — rzekła.

Uszy jej były pełne muzyki, która jęczała i tętniała w sercu nocy.

— Czy nie możesz mi przebaczyć po tych wszystkich dniach i nocach zarazem? Czy nie dałem w nich dowodu?

— Dawałeś może. Mężczyznom tak często wydaje się być czem innem, niż są.

— A ja myślałam, że wiesz, dlaczego wyszłam za ciebie.

— Powiedz mi, dlaczego?

— Nie dzisiaj.

— Dawno temu — rzekł — a teraz mówił wolno, z głęboką powagą, która uczyniła ją uważną — dawno temu, kochałem jedno dziewczę, Ruby. Była bardzo młodą, wiedziała bardzo mało o świecie, a nic o jego bestyalności. Zdaje mi się, że ją kochałem, po części za to, że wiedziała tak mało, że była taka niewinna. Można było widzieć, widzieć w jej oczach, że nigdy nie patrzała nawet z oddalenia na błoto, na coś brzydkiego. Kochała mnie. Umarła. I stała się moim ideałem.

Spojrzał na nią, podnosząc zwolna głowę. W jego oczach był blask, który ją chwilami nawpół przestraszał, nawpół magnetyzował, tak był bezwzględnie naturalny, naturalny jak płomień, który prosto strzela w górę, w zupełnie spokojnem powietrzu.

— W moich myślach wyłączyłem ją od innych kobiet — zawsze, latami całemi, aż do jednej nocy, po poznaniu ciebie. Owej nocy — nie wiem jak, ani dlaczego — zdawało mi się, że widzę was stojących razem, patrzących jedna na drugą; zdawało mi się wiedzieć, że w was obu — nie wiem — jak to dokładnie wyrazić — zatrzymał się, spuścił wzrok na dół, jak ktoś, głęboko pogrążony w myślach — że w was obu zmieszana z ilością różnych rzeczy, była jedna, piękna, ta sama rzecz. Ona — ona zdawała się mówić, że w tobie jest coś, co kochałem w niej, że była ukrytą przed ludzkim wzrokiem, że lękasz się ją pokazać, że nikt nie wierzył, żebyś ją posiadała. Zdawała się mówić, że powinienem nauczyć cię ufać mi, i pokazać ją. Zdaje mi się, że tej nocy zacząłem ciebie kochać. Nie przypuszczałem, że powiem komu o tem, nawet tobie. Czy myślisz, że mógłbym ci o tem mówić, gdybym tobie nie ufał, jak zdajesz się przypuszczać?

— Podaj mi szklankę Apollinaris, dobrze Nigel? — rzekła — stoi tu przy łóżku.

— Apollinaris!

Patrzał na nią, jakby zmieszany tą nagłą dywersyą.

— Tutaj.

Wskazała ręką. Dług rękaw, jak skrzydło opadło z jej białego ramienia.

Poszedł spełnić jej życzenie. Siedziała cicho, patrząc przez otwarte okno, w świetle księżyca, które padało na białe kamienie balkonu. Usłyszała dźwięk szkła i bulgotanie nalewanego płynu. Poczem wrócił i stanął przy niej.

— Oto jest, Ruby.

— Zapał znikł z jego głosu, a blask w jego oczach zgasł. Podniosła szklankę do ust i wypiła. Następnie postawiła ją na biurku.

— Jesteśmy na samym początku naszego wspólnego życia, Nigel — rzekła — i nie możemy wymagać od razu doskonałości w naszych wzajemnych stosunkach. Nie wiele mam złudzeń i jestem może niedorzecznie wrażliwa w niektórych kwestyach. Faktem jest, że byłam — byłam deptaną przez długi czas. Mężczyzna nie może sobie wyobrazić, co czuje kobieta — kobieta z towarzystwa, która w niem żyła, kiedy zostanie z niego wykluczoną i — podeptaną. To rzuca ją prawie w objęcia szatana. To może być okropne, ale tak jest. A kiedy stara się porzucić szatana, — wtedy staje się zwitkiem nerwów i gotowa drżeć przed każdym cieniem. Widziałam dzisiaj cień w ogrodzie...

— Wiem, wiem.

— Pamiętasz wieczór, kiedy jedliśmy obiad w Karnaku? Po obiedzie chciałeś mi pokazać ruiny przy księżycu; gdziekolwiek poszliśmy, czarno odziany stróż szedł za nami, wychylał się z za kolumny, obelisku, rozpadniętego muru, i śledził nas aż uciekliśmy. Otóż takiem jest życie dla niektórych kobiet, takiem było przez długi czas moje życie. Kiedy starałam się spokojnie patrzeć na coś pięknego, byłam śledzona przez czarno ubranego stróża, który podejrzliwie na mnie patrzał. A dzisiaj ty wyglądałeś na jednego z nich, kiedy mnie zapytywałeś o Harwicha.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

W dzisiejszych czasach stali się ludzi jeszcze większymi egoistami, niż byli nimi dotychczas. Każdy myśli tylko o sobie, o tem, aby jemu było dobrze, o to zaś nikogo głowa nie boli, co się też dzieje z jego bliźnim, czy nie powinno się przyjść mu z pomocą w potrzebie. Ostatecznie niema się i czemu dziwić. Każdy ma obecnie tyle własnych kłopotów, że cudze zupełnie go nie obchodzą. Dzieliliby się, co prawda, z drugim i to nawet bardzo chętnie, ale tylko pod tym warunkiem, jeśli tamten ma więcej od niego i mógłby mu coś odstąpić, sam ze swojego, choćby nawet okazała się i pewna nadwyżka, nic nie odstąpi, tłómacząc, że chowa to na „czarną godzinę".

Są jednak i w tej regule życiowej wyjątki, a z jednym z nich spotkał się kronikarz w ubiegłym tygodniu na drodze swojego szarego żywota.

Znalazł się człowiek o dobrem sercu, który, wiedząc o tem, że kronikarz jest jako ów ptak niebieski, co to nie sieje, ani orze, a przecież jeść musi, zaopatrzył jego szpiżarnię (przedstawiającą stale beznadziejną próżnię...) w koszyczek jabłek i woreczek kilkunastofuntowy mąki na chleb. Ofiarodawca, znany pod nazwą „gruby dziedzic", ze względu na rozmiary swej cielesnej powłoki, dowiódł w ten sposób, że ma i dobre serce, które każe mu się podzielić z mającymi mniej i muszącymi, zwłaszcza w mieście tak wielkiem jak Kraków, borykać się z losem, który jako „garbaty" jest i uparty i ani rusz nie chce ustąpić.

Venizelosowi, jak doniosły w poprzednim numerze „Nowości Illustrowane", ofiarowali wdzięczni Grecy złoty wieniec za zasługi obywatelskie, ale z pewnością tak go ten dowód uznania nie ucieszył, jak kronikarza ten dowód życzliwości i pamięci, jaki go spotkał i to prawie niespodziewanie. Różni ludzie obiecywali mu już różne rzeczy, skończyło się przecież na samych obietnicach, bo to teraz w modzie. I Lloyd George obiecuje także na prawo i na lewo, a potem o obietnicach zapomina. A że Lloyd George uważany jest dziś za największego męża stanu, mali mężowie stanu chcą też w jego ślady wstępować. To nie kosztuje zbyt wiele, obiecać nawet bardzo dużo, jeżli się z góry postanowiło nie dotrzymać obietnicy. W tej myśli i Niemcy podpisali warunki traktatu pokojowego w Wersalu.

O ileż to zatem piękniej, gdy ktoś, tak jak to było w tym wypadku, nie obiecuje, ale spełnia czyn dobry i szlachetny, stwierdzający, że są jeszcze ludzie, mający serce i niem się kierujący... „Łaknącego nakarmić", to uczynek miłosierny wprawdzie tylko co do ciała, ale w tym wypadku i co do duszy, dodając ufności, że rodzaj ludzki nie jest tak zły, za jaki się go nieraz przedstawia.

Na obecne stosunki był to prezent nielada, jeśli się zważy, że przeciętny obywatel miasta Krakowa, bez względu na swój apetyt, otrzymuje tygodniowo funt chleba kontyngentowego (w ostatnim tygodniu za dziewięć marek), a porcya ta wystarczy najzupełniej na jedno posiedzenie, jak się o tem kronikarz miał sposobność na własne oczy przekonać. Jeden z głodomorów dziennikarskich, otrzymawszy swój tygodniowy funtowy przydział, załatwił się z nim od jednego zamachu i bynajmniej się nie zmęczył, ani spocił, w kwadrans zaś oświadczył, że chętnie przetrąciłby coś lekkiego. Niestety, nie było nic pod ręką, prócz kartki na pobór nafty i świec, która jest wprawdzie bardzo lekka, ale bynajmniej nie pożywna.

Mąka zatem mile połechtała po sercu Weronikę, która na poczekaniu obliczyła, ilo z tego będzie bochenków chleba, zapowiadając wszem wobec, że z tą chwilą zwiększone zostają codzienne racye, przypadające na każdego członka rodziny. Jabłka uradowały natomiast bardziej kronikarza, który jest ich amatorem, ale, ze względu na ich obecną cenę, musi się wyrzec takiego zbytku.

Jabłko w historyi świata odegrało już nieraz ważną rolę „nic też dziwnego, że królowi podczas aktu koronacyi daje się złote jabłko do ręki. (Udziałem zwykłych śmiertelników są jedynie złote gruszki... na wierzbie!...). Jabłko było powodem wypowiedzenia przez Pana Boga Adamowi dzierżawy raju, jabłko stało się przyczyną wojny trojańskiej, a teraz niewiele brakowało, a byłoby wywołało wojnę domową między kronikarzom, a jego lepszą połową. Weronika była zdania, że jabłka te są tak piękne, iż należy je schować, kronikarz zaś, z tego samego powodu, oświadczył, iż powinno się je zjeść, aby się nie zepsuły. Weronika wychodziła z założenia, że decyzya co do artykułów spożywczych należy do niej jako do gospodyni, kronikarz bronił swego stanowiska tem, że jabłka były przysłane dla niego.

— Skąd wiesz, że dla ciebie? — wrzasnęła z pasyą. — A może akurat dla mnie?... Może ten pan się we mnie kocha?...

Udało się wreszcie przekonać ją, że ofiarodawca kochać się w niej nie potrzebuje, mając swą własną żonę, kronikarz postawił na swojem i jabłka zostały zjedzone. A trzeba im przyznać, że były doskonałe, wpłynęły bardzo dodatnio na kronikarskie organa trawienia, podniecając apetyt, mogą być więc zupełnie słusznie uważane za kuracyjne.

Jednem słowem, obywatel ów sprawił kronikarzowi nadzwyczajną przyjemność, za którą już mu osobiście podziękował i jeszcze raz to obecnie czyni, stawiając go innym za wzór, godny naśladowania. Dziś, gdy primadonnom operowym ofiaruje się skórę na buty, a słynnemu tenorowi kilogram kiełbasy lub wędzonki, taki dowód uznania jest najmilszy. Kwiaty, a nawet klejnoty, nie robią takiego wrażenia, jak artykuły codziennej potrzeby, o które tak trudno.

Gdyby ten i ów z Czytelników chciał pójść w ślady owego zacnego męża i od czasu do czasu podzielił się z kronikarzem nadmiarem swych zapasów, sobie nie zrobiłby uszczerbku, a jemu ułatwiłby doczesną pielgrzymkę, która nie jest bynajmniej „po różach". Nie musząc starać się o wyszukiwanie źródeł, gdzie mógłby się zaopatrzyć w to wszystko, co do życia niezbędne, miałby i więcej czasu i werwy do pisania. Lokomotywa, o ile się ją nie nakarmi węglem i nie napoi, stanie w drodze, organizm ludzki jest też takim małym piecykiem, który potrzebuje opału pod postacią darów Bożych. Żołądek, to najważniejszy organ ciała ludzkiego, utrzymujący inne w równowadze, wymagający też specyalnych starań i troskliwości. A że to dziś przychodzi z taką trudnością, nic też dziwnego, że serce ludzkie najłatwiej sobie zdobyć drogą na żołądek.

Nie zapominajcie zatem o kronikarzu Szanowni Czytelnicy, a zwłaszcza Wy o czułem sercu Czytelniczki i aprowizujcie go, aby mógł *procul negotiis aprovisatoriis* tem intenzywniej oddać się zawodowej pracy. To go bardziej ucieszy, niż nadzieja, że po najdłuższem życiu zacznie się zbierać składki na jego pomnik, który, krakowskim zwyczajem nie ujrzy nigdy światła dziennego.

W dzień, w który kronikarz radował się jabłkami i mąką, zostawał Kraków pod znakiem gęsi. Ze względu na zbliżające się imieniny świętego Marcina, postarał się nasz magistrat o pięćset pomorskich gęsi, tłustych i chudych, które, jak ich poprzedniczki uratowały Rzym od Gallów najazdu, miały gród podwawelski uratować od głodowej śmierci. Cóż to jest jednak pięćset gęsi, i to do tego przeważnie chudych (tłuste zjedli protegowani!..) na miasto z ludnością ponad ćwierć miliona?... Nie wystarczy nawet po jednej gęsi na każdą kamienicę!

Cena ich — dwieście, ewentualnie dwieście pięćdziesiąt marek — stosunkowo bardzo przystępna, dla wielu jednak... niedostępna. Kronikarz nie traci nadziei, że przypomni sobie może, jak gęsinka smakuje, ale tylko w tym wypadku, jeżeli ten sympatyczny ptaszek nadleci doń tą drogą, którą nadeszła mąka i jabłka (choć nóg nie mają!...), nabycie jej za gotówkę wymagałoby postarania się o nadzwyczajne kredyty, ewentualnie wygrania miliona na premiówkę.

Do onych gęsi pomorskich było jednak wielu wezwanych, a stosunkowo mało wybranych, jedna bowiem przypadała przeciętnie na pięćset głodnych. Komu zatem udało się ją zdobyć, uważał się za bardzo szczęśliwego i spieszył ze swym gęgającym skarbem pod dach rodzinny. Patrzano nań ze zazdrością, a z tłumu dochodziły głosy:

— Paskarz!...

— Szczęśliwiec!... Ten jeszcze w tym tygodniu będzie używał na gęsinie!...

Widziałem na własne swe oczy jednego ze znajomych, który dźwigał gęś pod pachą, przyciskając ją do serca czulej, niż kochankę. W oczach jego błyskały ognie tryumfu, że przecież wyprawa na Warszawskie nie była bez skutku. Takiej miny nie miał nawet Lohengrin, gdy go łabędź wciągał w łodzi na scenę...

Kraków „rozgęsił się" na chwilę, można zatem żywić nadzieję, że uroczystość św. Marcina będzie w niektórych domach obchodzoną z tradycyjną wystawnością.

I teraz dopiero widzimy, co mamy do zawdzięczenia obecnie rządowi. Miał racyę „Piast", pisząc, że Polska ma do zawdzięczenia wszystko ludowcom. Tak jest!... Nawet i gęsi!.., Gdyby prezydent Witos nie był pojechał na Pomorze i nie zakupił tam gęsi, czy bylibyśmy je w Krakowie oglądali?... Z pewnością nie!... I choćby tylko ze względu na te gęsi, zaczynamy do Polskiego Stronnictwa Ludowego nabierać coraz to większego zaufania.

Biedne gęsi, które do nas przyjechały aż z Pomorza, ani się nawet spodziewają, jakie ich tu czeka gorące przyjęcie. Wszystko ma jednak swój koniec i o nich rychło się zapomni, chyba, że ktoś z przejedzenia nabawi się kataru żołądkowego lub innej podobnej dolegliwości.

Ważniejsza natomiast kwestya, dlaczego jest tak zimno i czy możemy się spodziewać, że nastaną jeszcze dni cieplejsze. Niektóre z niewiast twierdzą, że tego roku nie było „babiego lata", a one praw swych zrzekać się nie myślą. O „babie lato" dopominają się jedynie niewiasty starej daty, postępowe obchodzą lato razem z rodzajem męskim.

W każdym razie warto się nad tem zastanowić, skąd się wzięły takie mrozy i to już w październiku, zatem w jesieni, i to przy obowiązującym czasie letnim.

Jedni twierdzą, że, skoro codziennie musimy wstawać o godzinę wcześniej, słusznem jest i sprawiedliwem, aby i zima przyspieszyła swe przybycie, wcześniej w takim razie doczekamy się i wiosny. Ale nie brak i takich, którzy te zimna przypisują jeneralnemu strajkowi protestującemu, jaki wybuchł w niebie między duchami na wiadomość o wynalazku Edisona, o którym wspominaliśmy w poprzedniej kronice. Zastrajkował widocznie i referent od pogody, zastępuje go zaś ktoś niefachowy. Nie jest także wykluczonem, że niebieska Centrala mrozów, chcąc się pozbyć pozostałych z poprzedniego roku zapasów nagromadzonych w jej magazynach, postanowiła je, przed rozpoczęciem nowej kampanii zimowej, oddać do publicznego użytku, że zatem te mrozy odnieść należy do minionej zimy, a nie brać ich na rachunek dopiero nadchodzącej.

Kronikarz, lubiący mieć wiadomości z pewnego źródła, zwrócił się w tym celu do jednego z naszych znanych meteorologów, który oświadczył, co następuje:

— Mrozy mamy, to jest fakt, stwierdzony termometrem. Przyczyną ich obniżenie się temperatury, co w tych czasach nie należy do rzadkości. Czy będzie jeszcze ciepło, to dopiero przyszłość pokaże. Jeżeli pan ciekawy, trzeba codziennie kontrolować termometr...

— A jeżeli się go niema?

— W takim razie trzeba się weń zaopatrzyć. Bo i jakże w inny sposób przekonać się, czy jest zimno, czy ciepło?... W każdym razie nie zanosi się na to, abyśmy w listopadzie lub grudniu mieli mieć upały...

— Jaka będzie obecna zima?

— To się dopiero pokaże w dalszym ciągu. W sierpniu ogłosimy dokładne sprawozdanie, z którego się pan dowie o wahaniach temperatury i jej przeciętnej...

Czekajmy zatem do sierpnia, kogo zaś stać na to, niech się na wszelki wypadek zaopatrzy w węgle, gdyż zbliżająca się zima będzie ciężką. Tego zdania jest jeden ze znajomych kronikarza, a wnosi to z okoliczności, że mu się łysina zaczyna pokrywać świeżemi włosami, co ma być niechybnym znakiem wielkich mrozów.

— Chyba, gdybym się mylił — dodał na zakończenie — ale to mi się bardzo rzadko zdarza...

Na drugiej półkuli było natomiast w tym okresie gorąco, zwłaszcza zaś w dniu 2. listopada. Odbywały się wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych, które były zarazem pogrzebem dotychczasowej polityki zagranicznej Wilsona. I nad nim i nad nią przeszli Amerykanie do porządku dziennego, pokazując Lidze Narodów... figę. Wobec tego cały traktat pokojowy traci swą wartość i, kto wie, czy nie będzie trzeba rozpocząć na nowo wojnę, aby dojść do porządku.

Kto wie, czy nie wyszlibyśmy dobrze na tem!... Nauczeni doświadczeniem, wiedzielibyśmy teraz, jak się zabrać do rzeczy, aby postawić na swojem.

Ameryka rozstrzygnęła wojnę, teraz wywróci do góry nogami pokój. Z tamtej strony idą same niespodzianki. Z Ameryki pochodziła przecież ta anarchistyczna małpa, która spowodowała w Grecyi zamach stanu. Wiadomości, podane przez niektóre pisma, jakoby miała ona stać w bliskich stosunkach z Lloydem George'm, nie sprawdzają się. Na wszelki wypadek wszystkie małpy z Europy skazano na banicyę, w szczególności zaś amerykańskie, jako najbardziej zagrażające europejskiemu porządkowi!

Aby już z polityki nie wychodzić, skoro się z tej beczki zaczęło, należy wspomnieć o podjęciu dalszych rokowań pokojowych w Rydze, dokąd się już wybrał pan Joffe i czeka tam na pana Dąbskiego. Wprawdzie Wielki Sowiet w Moskwie nie chce aprobować ryskiej umowy, mając nadzieję, że Trocki tymczasem załatwi się z Wranglem, a potem zabierze się znów do Polski, ale miejmy nadzieję, że większy Pan Bóg, niż pan Rymsza. Zresztą sam Joffe nie może na to pozwolić, aby dzieło jego miało zostać przekreślone. Straciłby na reputacyi!...

Śmierć burmistrza miasta Cork.

Terencyusz Mac Sviney, burmistrz miasta Cork, uważany dotąd za jednego z najdzielniejszych szermierzy o wolność swej ojczyzny, stał się męczennikiem za sprawę narodową, a zgon jego ciężką żałobą okrył całą Zieloną Wyspę.

W postanowieniu, że albo go uwolnią, jako niewinnie aresztowanego, albo wyniosą z więzienia jego zwłoki, wytrwał wiernie do końca. Rząd angielski nie ustąpił, Mac Sviney, na znak protestu przeciw gwałtowi politycznemu, wstrzymał się od przyjmowania pokarmów. Głodówka jego trwała z górą dni ośmdziesiąt. Wrogo przeciw Irlandczykom usposobiona prasa angielska poddawała wprawdzie w wątpliwość, czy on naprawdę głoduje, czy też potajemnie przyjmuje pokarmy, odparli te zarzuty lekarze, których nadludzkie wprost wysiłki zdołały irlandzkiego patryotę tak długo utrzymać przy życiu. Ich zabiegom i swej silnej naturze miał do zawdzięczenia, że czas jego męki rozciągnął się na dni ośmdziesiąt. Ale ostatecznie i wiedza lekarska okazała się bezsilną, zwłaszcza gdy wywiązał się szkorbut, a chory nie chciał przyjmować zalecanego przez lekarzy soku cytrynowego.

Wieść o śmierci Mac Svineya wywołała w całej Irlandyi ogólną żałobę narodową. Domy miast i wsi ozdobiono żałobnemi flagami, do Londynu udała się deputacya ochotników irlandzkich, aby zwłoki męczennika dla sprawy narodowej przewieźć na rodzinną ziemię i tam na wieczny złożyć spoczynek.

A był on prawdziwym męczennikiem, który całe swe życie poświęcił walce o świętą sprawę wolności swej ojczyzny. Był to typowy żywot irredentysty. Przed czterema laty Swiney został po raz pierwszy aresztowany i deportowany do Anglii. Po kilkumiesięcznem uwięzieniu, które odcierpiał bez wyroku sądowego, został on wypuszczony na wolność, później zaś znów był aresztowany i znów deportowany. Uciekłszy następnie z więzienia Sviney po raz trzeci został aresztowany i skazany na areszt 9 miesięczny. W r. 1918, z powodu choroby, wypuszczono Svineya z więzienia, ale w miesiąc później znów został aresztowany. Ostatnie aresztowanie i czwarta deportacya nastąpiła 17 sierpnia. Dzień przedtem sąd wojenny w Cork skazał go na 2 lata więzienia, albowiem na biurku jego, między innymi drobiazgami, znaleziono tekst rezolucyi pewnego towarzystwa, wypowiadającego się za niepodległością republiki irlandzkiej, oraz brulion mowy, którą Sviney miał wygłosić, przyjmując urząd burmistrza po osobie zamordowanego swego na tym posterunku poprzednika.



Śmierć burmistrza miasta Cork: Mac Swiney w celi więziennej w Brixton, na tydzień przed śmiercią.

Rząd angielski nie przebaczył i po śmierci irlandzkiemu patryocie. W różnych miejscowościach policya zdzierała czarne flagi, wywieszone na znak żałoby, co n. p. w Belfast dało powód do krwawych rozruchów, wydano także zarządzenie, że kondukt nie może być dłuższy nad czterysta metrów.

Jakie będą skutki tragicznej śmierci irlandzkiego bohatera, dziś powiedzieć trudno. To jedno jest pewne, że sinfeiniści zaprzysięgli rządowi angielskiemu zemstę i przysięgi z pewnością dotrzymają. W różnych okolicach Irlandyi dało to już powód do poważnych zaburzeń. Rząd angielski przedsięwziął daleko idące środki ostrożności, zabraniając między innymi gromadzenia się w okolicy więzienia w Brixton, gdzie Mac Sviney dokonał męczeńskiego żywota.

Pogrzeb ofiary angielskiej bezwzględności odbył się w Dublinie z nadzwyczajną okazałością, przy udziale ludności całej niemal Irlandyi.

Święto załogi
„Szkoły Sienkiewicza".

W dniu 30 października b. r. obchodziła skromna garstka znajdujących się jeszcze we Lwowie uczestników pierwszej załogi szkoły Sienkiewicza święto drugiej rocznicy rozpoczęcia walk o obronę Lwowa. Zgodnie z naznaczonym programem już przed godziną 10 gromadziły się tłumy publiczności na uroczyste nabożeństwo, poświęcone uczczeniu wypadków listopadowych. Uroczystość rozpoczął X. biskup Bandurski w otoczeniu XX. Dominikanów, kleru parafialnego kościoła św. Elżbiety, oraz w asyście kapelana załogi. Wśród zgromadzonej wielotysięcznej rzeszy Lwowian pierwsze miejsce zajęli: dowódca okręgu gen. hr. Lamezan Salins z szefem sztabu Maryańskim, komendant miasta gen. Linda, dowódca obrony Lwowa brygadyer Mączyński, korpus oficerski załogi lwowskiej, gen. delegat Gałecki, wiceprezydent Chlamtacz i wiceprezydent Stahl na czele radnych miasta, reprezentanci Uniwersytetu i Politechniki lwowsk. i wielu wielu innych. Nawy kościoła św. Elżbiety zapełniły delegacye wszystkich stowarzyszeń narodowych z chorągwiami, jako to uczestnicy powstania styczniowego, delegaci związku inwalidów polskich, delegaci „Skały", „Gwiazdy", członkowie M. S. O. w komplecie i w. i. Do Mszy św. przygrywała orkiestra wojskowa, a artyści opery odśpiewali pieśni chóralne.

Na środku kościoła w nawie głównej zwracał uwagę olbrzymi katafalk, otoczony dwoma szeregami świec, na którym widniały złożone na krzyż szable. Broń ustawiona w kozły przed katafalkiem była ozdobiona świerczyną. Wartę honorową spełniali piękni w swych żółtych mundurach ułani jazłowieccy.

Po skończonem nabożeństwie odprawił X. biskup Bandurski przy katafalku egzekwie za poległych Obrońców Lwowa i Kresów wschodnich w okresie od 1 listopada 1918 po dzień dzisiejszy. poczem dostojny duszpasterz uproszony przez uczestników Załogi wstąpił na kazalnicę, by w prostych, serdecznych słowach, wypowiedzieć okolicznościowe kazanie. X. biskup Bandurski bez wszelkich oratorskich upiększeń mówił z serca, sam głęboko wzruszony, o tych wszystkich, którzy spontanicznie powstali w obronie miasta, którzy za nie głowę swą położyli, a którym nigdy tego nie zapomni Polska. Stwierdzeniem nieustannej, żywej swej łączności z młodzieżą polską, tym wiecznie świeżym kwiatem odradzającej się Ojczyzny, zakończył ukochany kaznodzieja swe przemówienie, wśród ogólnego wzruszenia zebranych. Następnie uformował się przed kościołem pochód, który ulicą Dzieci Lwowskich ruszył w stronę Szkoły Sienkiewicza, gdzie o godzinie 12 miało się odbyć odsłonięcie tablicy pamiątkowej. Na przedzie postępowali ułani jazłowieccy, za nimi oddziały piechoty, pluton Ochotn.



Święto zmarłych: Groby polskich lotników we Lwowie.



Święto zmarłych: Pułk. De Renty przemawia nad grobami żołnierzy franc. we Lwowie.

Legii kobiecej, poczem muzyka i członkowie załogi szkoły Sienkiewicza, oddział Miejskiej Straży Obywatelskiej i wymienione już poprzednio osobistości, oraz delegacye wszystkich stowarzyszeń. Pochód zamykał oddział wojskowy i baterya artyleryi.



Święto zmarłych: Cmentarz „obrońców Lwowa".

W szkole Sienkiewicza przemówił wiceprezydent Stahl, podkreślając znaczenie tych murów, z których wybiegł pierwszy zew do walki o polskość Lwowa. Wdzięczne swym obrońcom miasto ofiarowuje Szkole ku wiecznej pamięci tablicę, która wmurowana w fronton gmachu, ma odtąd zostać pod opieką dziatwy szkolnej i mieszkańców okolicznych.

Tablica pamiątkowa przedstawia metrowej wielkości prostokąt z gładko ociosanego kamienia trembowelskiego z lakonicznym złotym napisem, upamiętniającym po wieczne czasy jej znaczenie. U góry tablicy widnieje orzeł polski. Tablicę tę umieszczono pomiędzy oknami parterowemi szkoły, tuż pod biustem Sienkiewicza.

Imieniem Załogi Szkoły Sienkiewicza przemówił do zgromadzonych podpor. Novi, a jedna z uczenic tej szkoły samorzutnie wystąpiła ze ślubowaniem, złożonem na ręce przedstawicieli Rady miejskiej, imieniem kształcącej się tu młodzieży, że ta postępować będzie zawsze według tradycyi, mającej tu ongiś swą kolebkę bohaterów. Podniosłą uroczystość zakończyła wspólna fotografia pamiątkowa. Po fotografii podpor. Novi imieniem rady nadzorczej Załogi Szkoły Sienkiewicza wręczył X. biskupowi Bandurskiemu odznakę pamiątkową pierwszej Załogi Szkoły Sienkiewicza.

Odznakę tę, której podobną ma — poza rzeczywistymi uczestnikami — tylko Naczelny Wódz Józef Piłsudski, przyjął X Bandurski głęboko wzruszony, a dziękując zapewnił, że odznaka ta będzie dlań milszą nawet od krzyża Swastyki, jaki otrzymał ongiś z rąk gen. Roji, a to ze względu na to, że pochodzi ona od lwowskich dzieci.

Nowe zrzeszenie rękodzielnicze w Krakowie.

Z inicyatywy majstrów krawieckich: pp. Franciszka Mecnarowskiego i Wojciecha Pietruszki powstała przed kilku dniami w Krakowie nowa instytucya pod nazwą „Towarzystwo Zjednoczonych Krawców w Krakowie" jako spółka z ograniczoną poręką. Aktu otwarcia dokonano w dniu 7 listopada b. r. — w lokalu uzyskanym od zarządu kina „Opieka" przy ul. Zielonej. Uroczystość poprzedziło nabożeństwo odprawione w kościele OO Reformatów, poczem O. Stanisław dokonał poświęcenia lokalu wobec członków Spółki i zaproszonych gości, między którymi byli obecni: wiceprezydent miasta Rolle, radca Ostrowski, podpułkownik Mniszek, reprezentanci prasy krakowskiej, grono pań, przedstawiciele przemysłu krawieckiego i wielu innych. Pierwszy przemówił wiceprezydent Rolle, życząc nowemu Towarzystwu pomyślnego rozwoju i przyrzekając poparcie. Z kolei zabrał głos prezes spółki Mecnarowski, wskazując cele i zadania nowej instytucyi. Następny mowca p. Pietruszka zaznaczył potrzebę założenia szkoły krawieckiej, któraby dostarczyła zawodowi dzielnych pracowników. Radca dr Ostrowski przyrzekł również poparcie celów Towarzystwa przez miar dajne czynniki. Do cennych tych wywodów i projektów dorzucili swe uwagi także i przedstawiciele prasy. Na zakończenie podejmowali członkowie Spółki swych gości skromnem śniadaniem.

Ludność polska w sprawie Wilna

Koalicya zbyt wiele spraw wzięła na swe barki, aby je mógł odpowiednio załatwić. Wydaje się niejednokrotnie przy zielonym stoliku decyzye, które tylko zwiększają chaos i zamieszanie. Rozstrzyga się najżywotniejsze dla narodu sprawy, nie wysłuchawszy ich żądań, a nawet i to bardzo często wprost je sobie lekceważąc. Opierać się na relacyach misyi, wysyłanych na miejsce, nie wystarczy. Członkowie ich nie mają czasu na należyte rozglądnięcie się w stosunkach i zbyt często powodują się jakimiś ubocznymi względami, a nie słusznością.

Coś podobnego stało się ze sprawą wileńską. Zbagatelizowano sobie żądania miejscowej ludności, która szczerze pragnie ścisłego związku z Polską, uświęconego tradycyą wiekową. Zanosiło się na to, że Wilno stracone jest dla nas. Rząd polski zachowywał się w tej, tak ważnej dla nas i tamtejszej ludności polskiej, stanowiącej ogromną większość z dziwną rezerwą, co skłoniło jenerała Żeligowskiego do samorzutnego podjęcia stanowczego kroku, który w całej Polsce spotkał się z uznaniem. Rząd polski postawiło to przedsięwzięcie być może w drażliwem położeniu wobec Koalicyi, która sprawę Wilna



Nowe zrzeszenie rękodzielnicze w Krakowie: Goście i członkowie nowego zrzeszenia biorący udział w poświęceniu Zakładu.

chciała rozstrzygnąć wedle swej woli, a może i interesu, ale wytłómaczeniem jest, że był to objaw woli ludu, który chciał stanowić o swym losie, jak mu to obiecywano.

Z jakiem uznaniem radości przyjęto w Polsce wkroczenie wojsk jen. Żeligowskiego do Wilna, świadczą nie tylko enuncyacye, jakie słyszeliśmy w warszawskiej sali sejmowej, ale przedewszystkiem te masowe wiece ludności na całym obszarze naszego państwa. Bez różnicy, do jakiego kto należy obozu politycznego, wyrażono jen. Żeligowskiemu uznanie i podziękowanie za jego stanowczy krok i opinię, że Wilno, wraz z okolicą, jest polskie i polskiem musi pozostać.

Manifestujący wiec w tej sprawie odbył się także i we Lwowie w ostatnich dniach października. Tłumy ludności polskiej zebrały się na Placu Maryackim, u stóp pomnika Mickiewicza, gdzie, po porywającej przemowie X. biskupa Bandurskiego powzięto odpowiednie rezolucye. Delegacya wiecowa udała się następnie do jeneralnego delegata dra Gałeckiego, aby mu wręczyć takowe.

Jeśli Koalicya żąda, aby lud w swych sprawach wyraził swe zdanie, to w tych właśnie czasach miała sposobność je usłyszeć, jasno i wyraźnie, tak w samem Wilnie i okolicy, jak i na całym obszarze ziem polskich.



Ludność Polska w sprawie Wilna: Delegacya wiecu manifestacyjnego we Lwowie, która wręczyła uchwalone rezolucye jen. del. Dr Gałeckiemu.



Święto Załogi Szkoły Sienkiewicza: Uczestnicy uroczystości poświęcenia tablicy pamiątkowej z X. biskupem Bandurskim w pośrodku.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył „Młody żonkoś", Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o **podanem znaczeniu**. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, **utworzy** imię i nazwisko francuskiego pisarza:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
    – ■ –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
    – ■ –
    – ■ –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Dopływ Dunaju, 3. Część budynku, 4. Liczebnik, 5. Samogłoska. 6. Imię biblijne, 7. Miasto w Rosyi, 8. Rodzaj łodzi, 9. Jedna ze stolic Europy, 10. Duży plac w mieście, 11. Wykrzyknik, 12. Zwierzę drapieżne.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Idzi Welura z Uwiedra.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Polityk z Krakowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko rumuńskiego męża stanu:

— oga
— ga
— ola
— li
— otä
— pa
— oga
— wa
— oła
— ud
— ral
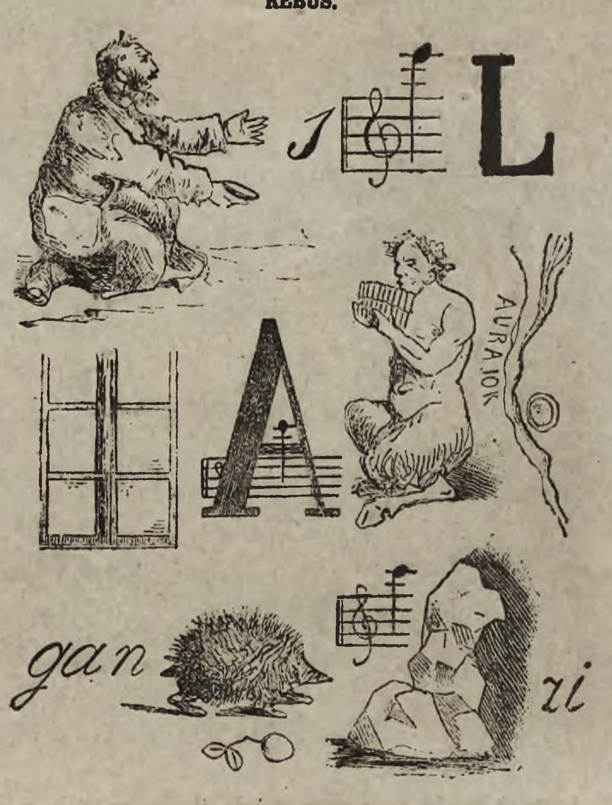
Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył H. B., Wieliczka.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, b, i, k, ł, ł, m, n, o, p, r, s, z, z.

REBUS.



Kryształówka.

Ułożył S. Sokołowski, Jasło.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy imię i nazwisko polskiego poety:

```
            ■
          – ■ –
        – – ■ – –
      – – – ■ – – –
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
      – – – ■ – – –
        – – ■ – –
          – ■ –
            ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, 2. Rodzaj poezyi, 3. Część budynku, 4. Środek komunikacyjny w większych miastach, 5. Szukane wyrazy, 6. Jeden z wybitnych bolszewików, 7. Kraj w Afryce. 8. Członek najbliższej rodziny, 9. Spółgłoska.

Przysłowiówka.

Ułożył J. Nowak, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -a--u-a-o-u,-a--ó--u-i-e.
2) -a--y-a--a--oi----ie-ią--.

Okienko.

Ułożył J. Kuczyński, Lwów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  a  a  a
e     e     j
l  l  m  n  o
o     o     o
r  r  w  w  w
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce drogie sercu każdego Polaka, 2. Arcydzieło Grottgera, 3. Rzeka we Francyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. Maskoffa: „Pan policmajster Tugiejew" (powieść, 2 tomy), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 44.

Logogryf: H, mer, konar, Karol, ryś, k, Ewa, Praga, Kolin, Ren, Iza, y.

Trójkąt magiczny: Słowacki, Łomnica, Oporto, Wanda, Azya, cal, ku, i.

Zgłoskówka: Głodówka burmistrza z Corku.

Rebus: Kto chce ratować biedaka, to niech to spełnia w ukryciu, a nie szuka za to w rozgłosie nagrody.

Okienko: Sonet, Nekar, Turyn.

Grzebieniówka: Kola, o, Zola, i, Ezaw, t, Ural, l, Soła, k, Iram.

Kwadrat magiczny: Mila, ikon, lord, Andy.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Nowakowski Sandomierz, K. Madejski Płock, S. Sygnarski Rzeszów, M. Ogrodnik Lwów, M. Kamieniecki Zakopane, S. Kaczorowski Kraków, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, K. Bereźnicki Stanisławów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Lewińska Stanisławów, W. Witowska Warszawa, M. Kuczyńska Kraków, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Kaczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, S. Cichocki Warszawa, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów, M. Jasińska Lwów, J. Rogoziński Biała, M. Ogibińska Stryj, K. Radoszewski Zamość.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Walicki Poznań (książka), 2) S. Cichocki Warszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Wydawcy i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.